

Byłem w Polsce – 13

21 lipca 2018

Nie ukrywam, że serce biło mi szybciej i czułem się jak młody chłopak, który idzie na randkę z dziewczyną. To prawda, że to był mój kraj, i chociaż inny niż przed półwiekiem, to jednak znany i swojski. Cokolwiek by jednak powiedzieć, jechałem na to spotkanie po wielu latach, a nawet wtedy – w czasie ostatniej mojej wizyty – spędziłem tu nie więcej niż parę dni. Wracałem więc w okolice, których nie widziałem przeszło pięćdziesiąt lat.

Mimo to poznawałem bez pomyłki.

San płynął tak samo jak kiedyś, tocząc się zakolami i rozlewając po kamienistych nabrzeżach, wysłanych płaskimi kamieniami, znakomitymi do puszczania kaczek. Patrząc teraz na tę rzekę, zdawało mi się, że wciąż jeszcze słyszę płaskanie kijanek, którymi kobiety biły pranie. W wieczornej ciszy ich odgłos niósł się po wodzie daleko, uspokajał i wyciszał. Słońce chyliło się ku zachodowi, na polach kończono już robotę, wozy wracały i dzień chylił się i gotował do odpoczynku.

Wtedy właśnie słyszeć było to pranie.

O ile pamiętam, kobiety w naszych stronach pracowały bez przerwy. Zresztą co ja mówię o naszych stronach?! Tak było jak Polska długa i szeroka, jak świat światem, a nawet galaktyka galaktyką! O ile mężczyźni mieli swój czas w niedzielę, po sumie, kiedy to w białej koszuli bez kołnierzyka i w rozpiętej kamizelce siadywali w cienistym sadzie albo na przyzbie i palili, o tyle jedynym odpoczynkiem kobiety była jedna jedyna godzina w kościele, podczas której mogła (o ile mogła!) usiąść w kościelnym babińcu i pomodlić się do swojej Panny Możej, Panny Łaskawej, pośpiewać pieśni i nabożnie posłuchać Mszy Świętej. W domu kobiety nie siadały nigdy, a jeśli już, to na

brzeżku ławki czy krzesła i pojadąły zupinę, patrząc, czy inni mają. Kobiety nie siadały, bo cały ten wiejski świat spoczywał na ich barkach. Wstawały przed świtem, do udoju, do zwierząt, do oporządzenia domu, nagotowania jedzenia, a potem szły w pole, gdzie niejednokrotnie zgięte wpół, pracowały do zmierzchu. Wpół!

Widziałem je przy żęciu sierpem, kopaniu kartofli, oczynianiu buraków, przy żniwach, wiązaniu snopów, przy młocce itd., itd. Samo takie żęcie sierpem to była tortura trudna do wyobrażenia! Już nawet nie praca, a raczej katorga. To była praca na dwie ręce, w głębokim pochyleniu, w skwarze dnia i upału, w pocie czoła, podczas której tylko od czasu do czasu można było wyprostować się z wysileniem i ręką z sierpem poprawić chustkę na głowie, poskrobać się końcem ostrza i popatrzeć na słońeczko, które wysoko jeszcze było, wysoko. Takim właśnie poskrobaniem Stefka Sulakowa wyjęła sobie oko i mimo przykładania krwawnika straciła je na zawsze. A czy po tym morderczym dniu mogły się chociaż uwalić na hamaku i przespać? A czy po całodziennej katordze mogły pójść na masaż i do sauny? A skądże znowu! Przecież trzeba było jeszcze dać chłopu jeść, oprać go, wygodzić mu pod pierzyną, dzieci nakarmić, kury nakarmić, świniom do koryta pomyj nalać... Toż to była nieustanna robota, której niezrobienie bolało, oj bolało! I polska wieś stała tymi kobietami.

No więc stałem teraz nad moją rzeką i wsłuchiwałem się w plusk wody, dalekie porykiwanie bydła i szczekanie wioskowych psów. Wszystkie te głosy woda Sanu niosła wzdłuż brzegów, na których chwiały się łozy, a wierzby zwieszały nisko swoje gałęzie.

San był zawsze blisko nas. Bywało, że przedwiosennym czasem wylewał i niszczył bliskie pola, ale zwykle był przyjazny. Byli tacy, którzy łowili w nim ryby, inni czerpali żwir, a jeszcze inni kąpali się i w czasie upałów wylegiwali na brzegach. Dla niektórych był jedyną łazienką, w której mogli się do woli wypluskać.

W skwarny, lipcowy dzień widziało się czasem jakiegoś starego chłopa, który szedł do wody, mówiąc:

– Ta ciepleji już nie bydzie, to trza się trochę obmyć!

San potrafił być groźny dla nieostrożnych i nie było lata, żeby nie pochłonął paru kąpiących. Czasem to było po wódce, czasem gdy ktoś chciał się popisać przed dziewczyną albo nieumiejętnie skoczył z wysokiej skarpy, a czasem po prostu był zbyt surowym nauczycielem pływania. Różnie bywało.

Jedna z takich historii, która bardzo blisko otarła się o tragedię, wydarzyła się w naszej rodzinie. To było jeszcze przed moim urodzeniem. Otóż tuż po zakończeniu wojny do domu moich dziadków przyjechało paru Belgów, byłych jeńców wojennych, którzy jadąc rzemiennym dyszlem do swojego kraju, zabrnęli jakimś cudem w nasze strony. Ktoś im powiedział, że w naszym domu będą się mogli porozumieć po francusku, więc przyjechali.

Dom moich dziadków był otwarty dla wszystkich i czasu wojny wielu uchodźców z centralnej Polski przewinęło się przez niego. Niektórzy zostali aż do moich czasów, inni po paru miesiącach czy latach jechali dalej. Belgowie na razie zostali. Było ich trzech: Albert, Nestor i Roland. Dom był pełen młodych dziewcząt, bo i moja mama z dwiema siostrami, i ich dwie kuzynki, a do tego córka państwa Trzcińskich, którzy zostawili swój majątek w Wielkopolsce i schronili się u nas... Dość na tym, że Belgom jakoś przestało się śpieszyć do ich belgijskich domów. Też byli młodzi, więc zabawom nie było końca! Wszędzie panowało odprężenie! Koniec wojny!

Były też wspólne szaleństwa nad Sanem, aż do czasu gdy przy którejś kąpieli Nestor zaczął tonąć. To było przy ujściu małej rzeczki, która wpływała do Sanu. To, że tam była głębia, to jedno, ale co ważniejsze, to to, że w tych mieszających się wodach czaił się jakiś nieregularny wir, który przesunął się pod powierzchnią wody i czyhał na ofiary. O tym wirze

opowiadano w okolicy jak o jakimś wilkołaku czy innym drapieżnym potworze. To był taki nasz miejscowy „potwór z Loch Ness”.

Nestor zaczął tonąć na oczach innych. Może chciał się popisać przed dziewczynami, że jest dobrym pływakiem, a może przez pomyłkę podpłynął za blisko „potwora”, dość na tym, że jego rozpaczliwy krzyk „au secour!!!” sparaliżował wszystkich kąpiących.

W takich sytuacjach bardzo niewielu umie zachować przytomność umysłu i umiejętność racjonalnego myślenia! Człowiek tonął i nikt nic nie robił! Ludzie jakby wrosli w ziemię!

I wtedy zupełnie nieoczekiwanie wyrwała się młodziutka Zosia – najmłodsza siostra mojej mamy – i bez namysłu rzuciła na ratunek. To była właśnie ta, do której całkiem niedawno dzwoniłem z Karłowych Warów, udając „przedwojennego utracjusza”. Miała tylko osiemnaście lat i była drobną dziewczyną, a Nestor mężczyzną postawnym i ciężkim, a jednak uratowała go! Jak to się stało, tego nikt nigdy nie umiał wytłumaczyć! Wszystko to działo się na oczach ludzi. Trochę później pozostali Belgowie też rzucili się do pomocy, ale to już było wtedy, gdy Nestor i Zosia byli prawie przy brzegu! Zosia została nie tylko bohaterem dnia, ale na zawsze! Historia uratowania Nestora towarzyszyła jej przez wszystkie lata i jest z nią do dziś!

A Nestor zaraz po wyciągnięciu na brzeg i dojściu do przytomności uklęknął przed ciężko oddychającą Zosią i wyszeptał:

„Tout ma vie une petite priere pour vous Sophie! Tout ma vie!!!” Co znaczyło, że całe życie będzie się za nią modlił! Całe życie! I te jego słowa też przeszły do rodzinnej historii, a miejsce, gdzie niewielka rzeczka wpada do Sanu, nazwano tak, żeby o tym wydarzeniu pamiętano na zawsze. Ta nazwa była trochę przydługa, ale przeszła próbę czasu i

utrzymała się nawet w dalszych pokoleniach: „Miejsce gdzie Zośka uratowała Nestora”. Czasami skracano tę długą nazwę i mówiono „Miejsce Nestora i Zośki”.

Stałem teraz w tym samym miejscu. Właśnie tu, przed przeszło siedemdziesięciu laty, młoda Zosia uratowała Nestora!

Autorstwo: Marcin Braniewski

Źródło: Goniec.net